

Moja mała, młodzięcza ojczyzna

Pod koniec sierpnia 1975 roku, jako świeżo upieczony student prawa, po raz pierwszy postawiłem stopę w Domu Studenckim Żaczek. Wprawdzie dopiero za miesiąc rozpoczynał się rok akademicki, trzeba było jednak zaliczyć obowiązkową praktykę studencką.

Ogromny gmach, z mnóstwem wieloosobowych pokoi, wspólnymi łazienkami i labiryntem korytarzy, nieco mroczny i przypominający koszary, nie wzbudził wówczas mojej sympatii. Choć z natury jestem człowiekiem łatwo adaptującym się do nowych warunków, otwartym na innych ludzi i szybko nawiązującym kontakty, początkowo czułem się tu obco.

Przez prawie cały wrzesień odbywałem praktykę studencką. Wraz z kilkusobową grupą podobnych do mnie gołowásów sprzątailiśmy zaniedbane pomieszczenia w Domu Pracy Twórczej UJ w Modlnicy. Z tym okresem związane jest wydarzenie, które z czasem być może radykalnie wpłynęło na dalsze moje życie. Otóż pewnego dnia w tym zabytkowym dworze, należącym niegdyś do rodziny Konopków, pojawiła się ekipa Ośrodka Telewizji Polskiej w Krakowie realizująca spektakl teatralny, z którego zapamiętałem jeno, że jego akcja toczyła się w ośrodku dla osób psychicznie chorych. Nas, praktykantów, zatrudniono jako statystów. Przebrani w szpitalne szlafroki robiliśmy tło walésając się po dworowym parku. Gwiazdą owego spektaklu była wówczas Anna Dymna - śliczna dziewczyna, choć (tak to wtedy odebrałem) bardzo zarozumiała i napuszona; po wielu, wielu latach, gdy pracowałem przez pewien czas w Starym Teatrze, bezpośrednio poznałem Anię, która okazała się w rzeczywistości osobą mądrą, niezwykle skromną i przyjazną ludziom.

Dlaczego opisuję ten epizod, choć pozornie nie ma on nic wspólnego z Żaczkiem? Ponieważ wówczas zrozumiałem, że nie trafnie wybrałem kierunek studiów, z czym męczyłem się przez kilka lat, oraz dlatego, że z tego teatralnego, nierealnego domu wariátów niebawem miałem wkroczyć już w całkiem realny krąg ekscentryków, pasjonatów i postrzeléców, którym zawsze był, jest i pewnie będzie nasz umiłowany akademik. Ja, z moim sowizdrzalskim temperamentem i artystyczną duszą, jak się wkrótce okazało, znalazłem się we właściwym miejscu.

Po zaliczeniu praktyki, już jako prawdziwy student, zostałem ponownie zakwaterowany w Żaczku. Zaczęły się piękne, durno-chmurne lata, w magicznym miejscu, choć na początku łatwo nie było.

Niewinne pacholę, wyrwane spod skrzydeł matki, szmaragdowych stawów, tajemniczych mokradeł i ogrodów tonących w czereśniach, nie znające smaku gorzały, papierosów ni nocnego życia, zostało wrzucone na głęboką wodę. Moimi pierwszymi współlokatorami okazali się bowiem dwaj wieczni studenci, indywidua otoczone legendarną sławą w Żaczku: Rysieczko, zwany także Waszczkiem, oraz równie mołojecką reputacją cieszący się jego kompan Konrad Majewski (o ile dobrze pamiętam nazwisko). Po przekroczeniu progu pokoju (w pionie akademika prowadzącym od portierni w górę, pierwszy po prawej stronie, na III piętrze, z oknem wychodzącym na studnię), niemal wpadłem na tych dwóch osobników, dogorywających w łózkach po nocnej hulance. Włosy stanęły mi dęba i ciarki przebiegły przez ciało, zrozumiałem bowiem, że od tej chwili już nic nie będzie toczyło się normalnie i że świat, jaki znałem dotychczas, bezpowrotnie odchodzi w przeszłość.

Po kilku dniach wspólnego zamieszkiwania z tymi groźnymi zbrojami, okazało się, że nie taki diabeł straszny. Zaakceptowali mnie dość szybko, gdyż miodem na ich serca okazały się moje piosenki wyśpiewywane przy gitarze, nieraz do białego rana. Oczywiście cierpiało na tym często studiowanie. W tym miejscu muszę nadmienić, że jadąc do Krakowa miałem ambitny plan skupienia się na nauce, chciałem zdobywać wiedzę, pragnąłem rzetelnie studiować, regularnie bywać na wykładach, a czas wolny spędzać w zaciszu bibliotek.

Ten, kto mieszkał w Żaczku w tamtym okresie, zapewne pamięta Rysieczka. To ów jegomość, który pod wpływem wody ognistej wykrzykiwał do studni słynne hasło „Niech

żyje wolny Quebec!”. Zawołanie to było wówczas tak samo popularne wśród podchmielonej żaczkowskiej braci, jak okrzyk „Leon! Leon!”.

W tym miejscu krótka dygresja na temat „Leona”. Wersja, którą znam, mówi - i niech to dalej brzmi jak bajka - że dawno dawno temu do Żaczka przyjechała jakaś matula w odwiedziny do syna. Niestety, portier żadnego Leona w spisie mieszkańców nie miał. Człek to był jednak doświadczony, więc zasugerował, że pewnie urwis jeden jest waletem. Znaczący się - mieszkańcem nielegalnym. Cóż było robić biednej matce. Weszła na wewnętrzny dziedziniec akademika, zwany studnią, pewnie rzuciła na ziemię torby pełne słoików ze smalcem i powidłami, i w desperacji zaczęła krzyczeć: Leon! Leon!, licząc, że zagubiony syn się znajdzie. Nie wiem, jakie było zakończenie tej historii i czy ów Leon się wtedy znalazł, pewne jest jednak, że brat żaczkowska szybko podłapała ów okrzyk, może nawet próbowała wywołać owego Leona. A potem to się już jakoś przyjęło stając się nieodłącznym elementem kultury akademika.

Podczas kilku lat mieszkania w Żaczku miałem jakieś szczęście do przyjaźnienia się z dziwnymi, ale i ciekawymi i wielce mądrymi osobnikami. Wspomnę tu choćby Mietka Kasprowa, zwanego Wujem, Tadzia Grochowskiego, tak pięknie zaciągającego po lwowsku, Mietka Kasztelańca, specja od potraw wszelakich, czy Antka Potoczka.

Z Antkiem wiąże się pewna historyjka, którą tu krótko opowiem. Otóż był czas, że pod wpływem i powodowany wypływającym zeń głębokim natchnieniem wygrywałem do studni na flecie jakieś melodyjki. Najczęściej odbywało się to późną, nocną porą. W moim odczuciu był to kawał anielskiej muzyki, perły rzucane przed... Nic tylko bić brawo i klękać w zachwycie. Brat żaczkowska miała jednak na ten temat odmienną opinię i najczęściej zewsząd było słyhać: Trzepizur, do k...y nędzy, idź spać!

Jednym z tych, który nie podzielał moich muzycznych uniesień, był Antek Potoczek, też wieczny student, chłop wtedy potężny, barczysty, obdarzony przez szczodłą naturę wyglądem jowialnego sarmaty i zmierzwioną brodą. Nieraz, gdy mijał mnie za dnia, groził palcem i obiecywał, że jak jeszcze raz będę sprawcą nocnego jazgotu, to mnie dorwie i obje mordę.

Pewnego dnia, po kolejnym nocnym incydencie, na korytarzu pierwszego piętra wypatrzył mnie Antek. Jak rozwścieczony tur ruszył ku mnie. Byłem wtedy zwinny jak łasica, więc szybko uskokczyłem. Coś mnie jednak wtedy podkusiło, i aby dogryźć Antkowi, krzyknąłem: Złap mnie, gruby! No i zaczął się pościg. Choć pościg to może słowo na wyrost, Antek szedł sobie bowiem powoli, a ja odbiegałem coraz dalej, chowałem się za winklami, wychylałem i dalej go drażniłem. Tak okrążyliśmy pierwsze piętro Żaczka, potem przenieśliśmy się na drugie piętro, które też przemierzaliśmy. W tym miejscu przypomnę, że wszystkie kondygnacje, oplatające je korytarze i łączące je w wielu miejscach klatki schodowe stanowiły połączone naczynie, z wyjątkiem jednego pionu, o czym wtedy zapomniałem, a który w tej opowieści odegra swoją rolę. Wreszcie zapędziłem się w tamtą stronę, na schody, które zaczynały się przy barku znajdującym się na parterze i prowadziły aż do piątego piętra. Szybko wbiegłem na samą górę mając nadzieję, że wnet zgubię Antka. Wtedy z przerażeniem dostrzegłem, że znalazłem się w potrzasku, bo z tamtego miejsca żadnego przejścia już nie było. Odwrót był też niemożliwy, bo Antek był tuż, tuż i odciął mnie od czwartego piętra, skąd ucieczka była jeszcze możliwa. Antek wspinał się powoli, dyszał zemstą i zaklinał się głośno, co mi robi, jak mnie złapie. Wreszcie dotarł na sam szczyt. Już, już miał mi przywalić, co pewnie skończyłoby się dla mnie marnie, ze względu na różnicę wag (on - waga ciężka, ja - wtedy piórkowa), padłem jednak przed nim na kolana i jak potępieniec zawyłem:

- Antoś, chłopie drogi, wybacz! Obiecuję, że już nigdy nie będę grał po nocach!

Widocznie żal mój i obietnica poprawy wydały się Antkowi szczere, bo stał się cud. Ten groźnie wyglądający człowiek cofnął zaciśniętą pięść i roześmiał się kordialnie.

Dotrzymałem słowa i już nigdy więcej nie koncertowałem po nocach, przynajmniej na flecie. A z Antkiem z czasem nawet się polubiliśmy. Był też moment, gdy nawet starliśmy się

w pewnych szrankach. Działo się to chyba w 1977 r., podczas wyboru w klubie Nowy Żaczek mistera Juwenaliów. Nie chodziło jednak o wybór jakiegoś przystojniaka, lecz kogoś w rodzaju konferansjera i gospodarza tej imprezy. No cóż, wolą publiczności to na mnie spadł ten zaszczyt, choć muszę przyznać, że Antek z godnością przyjął porażkę.

Co do wódeczki, to wódeczka w tamtych latach była potrzebna jak woda i chleb. Jak Żaczek długi i szeroki pili niemal wszyscy (także koleżanki) i okazji nigdy nie brakowało. Trudnością było jedynie nabycie odpowiedniej ilości, szczególnie w nocy.

Aby wyjść naprzeciw oczekiwaniom żaczkowskich ochlaptusów i by nikt nie musiał ganiać po okolicznych melinach (nocnych sklepów wszak w PRL-u nie było), wraz z moim krajanem spod Częstochowy, Jackiem Passakiem, zwanym Czesławem lub Glebą, człekiem mającym ogromną fantazję i skłonność do ryzykownych interesów, wymyśliliśmy pewnego razu założenie meliny. Od mojej serdecznej przyjaciółki, rodowitej krakowianki, której personalia w tym miejscu utajnię, pożyczyłem baaaaaardzo znaczną kwotę w celu nabycia kilkudziesięciu butelek w Peweksie. Towar przydźwigaliśmy bodaj w czterech wielkich walizkach i biznes ruszył z kopyta. Pierwszej nocy sprzedaliśmy nawet kilka butelek. Już zacieraliśmy ręce, licząc zyski. Kolejni klienci, często nasi znajomi, następne flaszeczki brali na krechę, obiecując uregulować dług. W ten durny sposób rozprowadziliśmy znaczną część zasobów, nie mając żadnej pewności, że ktokolwiek coś zwróci, bowiem większość naszych ówczesnych kolegów groszem nie grzeszyła. I wreszcie stało się to, co stać się musiało, czyli plajta. Ostatnie dziesięć butelek, w akcie desperacji, po prostu postawiliśmy ferajnie podczas finalizującej biznes imprezy. A potem przez chyba pół roku pracowaliśmy w spółdzielni Żaczek, myjąc szyby, aby zwrócić dług.

W tym miejscu przytoczę piosenkę, którą w tamtych latach napisałem, skomponowałem i nagrałem dla rozgłośni Alma-Radio. W jakimś sensie oddaje ona atmosferę tamtych lat.

Park Jordana

*Wstałem dzisiaj lewą nogą,
głowa pęka w szwach, cholera,
męczy mnie tą polową,
którą wczoraj zamiast mleka...
Dziwnie czułem się wypluty,
myślę sobie: bracie, skonasz,
nagle, basta, koniec smuty,
no bo w końcu rzecz wiadoma:*

Refren:

*Pachnie wiosną park Jordana,
słońce kładzie na parkanach
iskierek szal,
widać idzie maj maj maj maj maj maj.
Odśloniły się kolana,
coś się burzy w człeku z rana,
i śpiewnie gra,
całej wiosny kram.
I pojaśniały Sukiennice
i tramwaje, i ulice,
i wawelski smok.
Nawet trębacz nie fałszował,
widać wiosna
mu przyniosła*

świeży zapach Plant.

*Pod namiotem Plachty piwo,
uśmiechają się niewiasty,
jeszcze łyczek, żegnaj zimo,
jak ja lubię te toasty!
Poszły w błonia z Żaka charty,
każdy wesół, każdy czuje,
patrzę ci ja, różną już w karty,
ale w końcu się rozumie:*

Pachnie wiosną park Jordana ...

Jeśli chodzi o piosenki, to w owym czasie bezsprzecznie w Żaczku królował Okudźawa. Śpiewało się też Cohena, Wysockiego, pieśni patriotyczne legionowe i AK-owskie oraz piosenki turystyczne, głównie spod znaku Wolnej Grupy Bukowina. Sprośnych a uciesznych też nie brakowało. Ponieważ śpiewaków i gitarzystów, przeważnie samouków, było co nie miara, nieraz dochodziło do swoistej kakofonii dźwięków. Często piosenki nakładały się na siebie, bo gdy akurat w jednym pokoju ktoś z przejęciem zawodził o „koniach zielonych”, w innym w tym samym czasie ktoś darł pyska o sambie sikoreczce, a w następnym o jednej atomowej i powrocie do Lwowa. Bywało też, że gdy w jednym pokoju rozśpiewane towarzystwo właśnie kończyło „Sokoły”, w innym biesiadnicy je ochoczo kontynuowali. Bywało też i tak, że gdy ktoś gdzieś coś zaintonował, w innych pokojach podejmowano ów motyw i wówczas pieśń, stukrotnie spotęgowana, rozchodziła się szeroką falą po najbliższej okolicy. Oj, w owych latach w Żaczku mieszkał bardzo umuzykalniony ludek i na tym gruncie pięknie z czasem rozwinęła się niejedna artystyczna sława. W tym miejscu przywołam choćby przypadek Zbyszka Preisnera (nam wtedy znanego jako Kowalski), któremu, co może zabrzmieć nieskromnie, zdradziłem kilka tajników w zakresie gry na gitarze.

Ponieważ nieco wcześniej wspomniałem Alma-Radio, poświęcę więc tej rozgłośni kilka słów, działalność bowiem w radiu studenckim Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego siedziba znajdowała się właśnie w Żaczku, stanowiła dla mnie wielką sprawę. Tu mogłem zrealizować wiele twórczych pomysłów, nagrywałem audycje satyryczne i słuchowiska literackie, dziesiątki piosenek, tu poznałem też wspaniałych ludzi, którzy do dziś są moimi serdecznymi przyjaciółmi. W tym miejscu wymienię Iwo Birkenmajera, człeka wprawdzie z Krakowa, ale sercem i duszą związanego z Alma-Radio i Żaczkiem, w którym bywał niemal codziennie, często przysypiając u mnie do samego rana, po wyczerpujących nocnych rozmowach. Do dziś to mój największy przyjaciel. I kolejny wielki przyjaciel - Jacek Bardan, zwany Ignacem, z którym „worek soli wspólnie zgryziony”. Oj, napisaliśmy wspólnie z Iwonkiem i Ignacem wiele audycji i piosenek, nie raz przy okazji wzmacniając się szlachetnymi trunkami... Nasze audycje satyryczno-literackie cieszyły się popularnością, a nawet zyskały uznanie, m.in. w konkursie rozgłośni studenckich we Wrocławiu zorganizowanym przez kabaret Elita (I miejsce).

Pisząc o Alma-Radio trudno nie wspomnieć także o wielu innych osobach, związanych z Żaczkiem lub Nawojką. Miałem wówczas okazję współpracować z tak sympatycznymi koleżankami jak: Helena Byrska, Magda Siepak, Małgosia Krekora, Basia Rybak, Teresa Piotrowska, Iga Sikora, Grażynka Gerste, Ania Kędziorek, Ania Nachtarzanka i Bożena Walencik oraz kolegami: Władkiem Motyką, Staszkiem Smółką, Edkiem Miszczakiem, Jackiem Małodobrym, Piotrkim Wasilewskim, Jackiem Siemaszkiewiczem, Jankiem Walencikiem i Wojtkiem Zrędą. Do dziś ich z łezką w oku wspominam.

Dla porządku rzeczy wspomnę też o kabarecie CO, który powstał mniej więcej w tym samym czasie w Żaczku, a który współtworzyli moi do dziś serdeczni przyjaciele: Ryszard Pałosz, Marek Lisowski, Wojciech Śniegowski i Adam Tomczyk. Kabaret występował w klubach studenckich, podczas uroczystości i imprez uniwersyteckich oraz na przeglądach PaKA. Dla kabaretu CO napisałem kilkanaście piosenek i ilustracji muzycznych.

Jak łatwo zauważyć, w moich wspomnieniach nie poruszam tematów związanych z ówczesną sytuacją polityczną. Po pierwsze dlatego, że choć bardzo krytycznie byłem nastawiony do ówczesnej władzy, nigdy nie miałem zadatków na działacza czy jakiegoś kombatanta, po drugie zaś - zapewne koleżanki i koledzy, którzy byli w to autentycznie zaangażowani, więcej na ten temat napiszą. Nie znaczy to jednak, że nie byłem świadkiem lub uczestnikiem często ważnych wydarzeń. Wolę jednak anegdoty z gatunku „z przymrużeniem oka”, bo taka moja od urodzenia natura.

W tym miejscu opowiem, jak kierownik akademika, Janek Maurer, prawdopodobnie uratował mnie przed SB. Historia ta wiąże się z pokojem 201, w którym akurat przez rok mieszkałem. Jak w większości pokoi w starym Żaczku, było w nim raczej obskurnie, a na ścianach łuszczyła się bura farba. Aby nieco ożywić to smutne pomieszczenie postanowiłem je czymś przyozdobić. Ze sterty zdobytych gdzieś gazet powycinałem różne potrzebne mi fragmenty - śmieci, kufajki, dziurawe gumki, resztki jedzenia, kości, czołgi, kałasznikowy, etc., które następnie nakleiłem na płótno. Układało się to wszystko w zwięzającą się ku górze piramidę, na szczycie której umieściłem głowy Gierka i Breżniewa. Ten ogromny collage miał obrazować (tak mi się wówczas wydawało) ówczesną rzeczywistość. W prawym dolnym rogu tego dzieła oczywiście machnąłem swój podpis. Obraz wisiał sobie spokojnie przez cały rok. A potem wyjechałem na wakacje, pozostawiając go na ścianie. Po powrocie wezwał mnie J.M. i gromowładnie rzucił:

- No co ty, z wołem podolskim na rozum się zamieniłeś? Przecież za mniejsze przewinienia można trafić do ciupy!

Zaraz też wyjaśnił mi, że ktoś z ówczesnego personelu akademika o mały włos z tym faktem nie poleciał do SB. Na szczęście Janek czuwał, obraz został kompletnie zniszczony, a ja uniknąłem spotkania ze smutnymi panami i oskarżeń o próbę obalenia ustroju. No cóż, takie to były czasy, że szczeniacki żart mógł komuś zrujnować życie...

*

Opowieść o Żaczku można snuć bez końca, gdyż w miarę pisania odżywa pamięć i przypominają się różne historie, facecje i anegdoty. Dobrze by było, aby ktoś z zacięciem literackim kiedyś to wszystko zgrabnie opisał.

Z perspektywy czasu myślę, że wyjątkowość Żaczka polegała na tym, iż stosunkowo niewielką przestrzeń zamieszkiwało mnóstwo ciekawych ludzi o otwartych głowach, pomysłowych, z ogromną wyobraźnią i płomiennymi ideałami. To był swoisty wrzód na du...e PRL-u oraz szczególnie wyspa na mapie Krakowa, a może i całego kraju - wolnomyślna, niepokorna, zadziorna. Tu rodziły się przyjaźnie, płomienne miłości, tu zszywały się małżeństwa. Tu ludzie byli sobie życzliwi i skorzy do pomocy. Tu nikt nie był głodny, bo zawsze znalazła się dusza, która wsparła w potrzebie. Choć często biedni jak mysz kościelna, byliśmy jednak bogaci duchem.

Tamtego świata już nie ma.

Sylwester Trzepizur
(mieszkał w Żaczku od 1975 do 1979 roku)